ROK CZWARTY.

№ 10.

WARSZAWA

D. 22 Lutego (6 Marca)

1859.

Niedziela Zapustna.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnéj Nr. 1527.

Prenumerata rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie kop. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.‘ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Modlitwy nasze, prosimy Cię Panie! racz łaskawie wysłuchać, a z więzów grzechowych wyrwawszy, od wszelkich nieszczęść przechowaj. (Kollekta na Niedzielę Zapustną.)

Zazdrość.
(gawęda)

Słońce się kryło już na zachodzie,
Ostatnie blaski kąpało w wodzie,
A niebo lśniące zorzy rumieńcem
Ziemię stroiło, jakby z róż wieńcem.
Wtenczas dwóch kmieci szło z pracy ciężkiej,
Gwarząc wśród drogi, jakie to klęski
Człowieka w życiu spotykać mogą.
Jacek tak począł:—Bóg widać srogo
Za jakieś grzechy kary mi zsyła;
Przecież do pracy jest chęć i siła,
I człek jak może rąk swych dokłada,
A tu wyraźnie nieszczęście spada,
Boć wszystko idzie jakby z kamienia,
Znikąd pociechy, znikąd ulżenia.
Ot w roku przeszłym grad wybił w polu,
W resztkach zebrałem pełno kąkolu,
Rzeka mi nawskroś łąki zalała,
Bydła część padła, reszta zmarniała,
I coraz gorzej!.. jak będzie dalej,
Nie wiem Wojciechu, boć człek i chwali
Boga i prosi, lecz nadaremnie,
Widno Bóg zechciał ofiary ze mnie.
Boć przecie innym, jak człek dostrzega,
Lżej jakoś każda troska dolega,
Tak łatwo idzie, jakby wił z płatka:
W stodołach pełniej, strojniejsza chatka,
I owce pulchne proszą się z wełną,
Trzody i drobiu w podwórku pełno,
Na polach zboża kłosem się złocą,
Bydło im zdrowe—ot dniem i nocą
Jak tylko który sobie zażąda,
Z takiem doń szczęściem Pan Bóg zagląda.
A mnie Wojciechu, choć człek co zacznie,
To w ciężkim trudzie idzie opacznie,
Że poniewoli serce zaboli,
I pozazdrości lepszej ich doli.
Na to Jackowi Wojciech odpowie:e!
—Co się to roi w tej waszej głowi

Toć mnie całego mrowie przechodzą;
Czy wam myśl taką zły duch nawodzi!
Czy popijanu brednie gwarzycie?
Adyć wy strasznie Bogu bluźnicie;
Czyż matka tego was nie uczyła:
Kogo Bóg kocha, krzyże nań zsyła;
Albo co *zazdrość*, czyliż nie wiecie,
Że to największy grzech jest na świecie,
I kto poczciwy, ten go się wstydzi.
Wszechmocny Pan Bóg, co wszystko widzi
I w duszy człeka obrał mieszkanie,
To chociaż mu się co złego stanie,
Prędzej czy później to złe nagrodzi
I z wszystkich nieszczęść go oswobodzi;
Ale w kim zazdrość serce już nagnie,
Bogu złorzeczy, cudzego pragnie,
O! taki Jacku, choćby dniem nocą
Pracował w pocie, Bóg mu z pomocą,
Wierzcie mi wierzcie, nigdy nie przyjdzie;
Boć taki Bogu człek jest w ohydzie.
Wszak wiara uczy: w niebo spoglądaj,
Ale bliźniego krzywdy nie żądaj;
Źle ci się dzieje, to wiedz, że praca
I w Bogu ufność wszystko powraca,
Nagrodzi straty, które ponosisz;
Lecz kiedy wątpisz, z zazdrością głosisz,
Że temu lepiej jak mnie Bóg czyni,
To cię stróż anioł w niebie obwini,
Żeś słabej wiary, pełen obłędu,
Spełniasz grzech wielki, co czwarty z rzędu
Między siedmioma grzechy głównemi
Jest najczarniejszy w człeku na ziemi.
Bierz z Jana przykład, wspomnij tę dobę,
Wszak byłeś świadkiem, gdy mu chudobę
Klęski, choroby zewsząd dotknęły,
Pszczoły mu w ulach wszystkie wysnęły,
Burza mu zboże wkoło zniszczyła,
I chatka jego się pochyliła,
Przychowek cały ze szczętem zmarniał,
Zły sąsiad, co mógł, sobie zagarniał,
Zmarły mu dzieci, za niemi żona;
A choć tak srodze dusza gnębiona,
Przecież w swej wierze była stateczna,
Głosząc, że chwała Boga jest wieczna;
Boć On jest ojcem ponad wszystkiemi,
Królem jak w niebie tak i na ziemi.
Ot ledwo piąte upływa lato,
Ni się gdzie spotka z jakową stratą,
Widocznie spojrzał nań Pan Bóg z nieba,
Nagrodził wszystko, znów dał kęs chleba,
I jak to mówią, ubrał go w pierze,
Bo ufał Bogu, pracował szczerze,
—Prawda, oj prawda, Jacek powiada,
Śliczna jak słońce jest wasza rada;
Lecz kiedy człeku na słabą głowę
Co dzień to klęski spadają nowe,
A nikt mu bratniem słowem nie słodzi,
Lecz często szydząc, z śmiechem odchodzi,
I jeszcze z jego urąga biedy,
Wierzcie Wojciechu, że człek już wtedy
Ręce opuszcza, wiara słabieje;
— W Bogu więc, w Bogu błogą nadzieję
Jak w swoim panu złóżcie z otuchą,
Doń jak do ojca przystąpcie z skruchą,
A pełni uczuć wiary, miłości,
Nie mając w sercu ni źdźbła zazdrości,
Toć On, co wszystko dla człeka stworzył,
Co w nas swą cząstkę wraz z duszą włożył,
I jako ojciec dziecku swojemu
Ciągle pomaga, radzi każdemu,
To o was Jacku On nie przepomni.
— O Bóg wam zapłać, żeście rozumni
Nad wielu innych, radą mnie wsparli,
Duszę z zwątpienia całkiem otarli,
I tak braterskiem czuciem i mową
W błogiej nadziei ubrali słowo,
Że znów mi w sercu raźniej i lepiej,
Że znów do pracy siłę człek krzepi,
Wierząc, że Bóg w swych łaskach jest wielki;
Odtąd zazdrości ani kropelki
W sercu i duszy nie będzie pewnie.
I w Jacka sercu tak błogo, rzewnie,
I w duszy znowu piękniej się stało,
Widocznie Niebo znów ją ubrało,
By w niej jak dawniej, Bóg miał mieszkanie.
Ot w lat niewiele, w błogim już stanie
Jacek chudobę swoję rozszerzył,
W każdem nieszczęściu, że jest Bóg, wierzył,
Boć już z zazdrości serce wybawił;
We wszystkiem mu też Bóg błogosławił.

Sądy ludzkie.

(Obrazek Warszawski.)

—

— Gdzie jest Piotrek?

— Albo my wiemy, gdzie ten nic dobrego zawsze lata?

— Sprawię ja mu zaraz cięgi.

Tak rozmawiał ze swymi subjektami pan

Brodzicki pryncypał i właściciel Izby felczerskiej, przy jednej z głównych ulic miasta Warszawy, człowiek już z górą pięćdziesięcioletni, tłusty, rumiany, obracający w ręku okrągłą tabakierkę, albo zakładający na wielki palec prawej ręki koniec fularowej chustki, co zawsze po każdem zażyciu tabaki regularnie następowało.

— To łotr, urwis, aby się tylko wyrwał na ulicę, już i przepadł; a wisus jest na moim sprawunku, butów ani nastarczyć.

Gdy mówiący kończąc z westchnieniem ostatnią uwagę, otwierał tabakierkę, przed drzwiami kamienicy zaczęli się gromadzić ludzie, i niebawem otwarły się z hałasem drzwi izby, a w nich ukazało się kilku żydów prowadzących za ręce, za włosy, za poły kapotki, małego chłopca.

— Piotrek! zawołał któryś z subjektów.

— Nasza zguba, dodał drugi.

— Co to jest? krzyknął pan Brodzicki, zakładając na palce końce chustki.

— Proszę wielmożnego pana, to rozbójnik, jak przyskoczył do małego żydka, jak mu dał kułaka, to aż krew jemu poszła nosem...

— Albo to tak było? przerwał Piotrek wydzierając się z rąk żydowskich.

— Jakże było?

— A to tak proszę pana: tam na rogu Elektoralnej i Orlej staje ślepa baba z małym chłopcem. Baba stara i strasznie blada, a chłopiec ot tak mnie po pas. Jakiś poczciwy pan dał chłopcu dziesiątkę, ale że to gapa wielki, jak się zaczął dziesiątce przyglądać, tak tymczasem przyleciał żydziak i cap mu ją z ręki. Chłopak w płacz, a żydziak w nogi. Ja też myślę sobie: chłopcu nijako odbiedz ślepej matki, a choćby i poszedł, to takie rozlazłe; więc dalej za żydziakiem. Jak się kopnąłem tęgo, tak dognałem go na końcu Orlej, dałem mu kułaka w kark, żydziak się przewrócił, ja dziesiątkę odebrałem i zaniosłem tej ślepej babie.

— Ny, co to takie rozbójstwo! Ny co to, czy on dozorca, czy policyant?

— Tak, prawdę aspan mówisz, że on nie dozorca ani policyant, rzekł pan Brodzicki, dzwoniąc w tabakierkę, — panie Puślicki podaj dyscyplinę.

— Panie, niech mnie pan nie bije, ja, Bóg widzi, dobrze zrobiłem. Cóżto taka krzywda ślepej baby miała żydziakowi ujść na sucho?

— Ty łotrze, patrzaj brzytwy i mydła, a nie ślepych bab i żydziaków. Panie Puślicki podaj stołek.

— Panie, za cóż mnie pan ma karać, kiedy ludzie na ulicy mówili, że ja dobrze zrobiłem, rzekł Piotrek, płacząc i całując rękę pana Brodzickiego.

— Takie urwisy jak ty. Za to dostaniesz, że zaczepiasz ludzi bez dania racyi, że się wałęsasz, że drzesz buty, a wiesz przecie, że jesteś na moim sprawunku; panie Puślicki, ośm odlewanych.

— Panie, niech już mnie pan wybije, ale nie przy żydach.

— Patrzajno go, jaka ambicya!... powiedziałem ośm, tylko od serca.

— Dziękujemy, dziękujemy za sprawiedliwoszcz, odezwało się kilka głosów.

— U mnie tak zawsze, odrzekł pan Brodzicki, zakładając chustkę na palce; a tymczasem Piotrek odebrał owe ośm plag z hojnej ręki pana Puślickiego. Ani jęknął, ani krzyknął, tylko zakrył oczy rękami i wyszedł do drugiej izby.

W kilka dni po tem zdarzeniu, znowu nie było Piotrka o oznaczonej godzinie, pan Brodzicki znowu rozwodził się nad wartością butów zwłaszcza swojego sprawunku, gdy przed kamienicą stanęła dorożka, w której siedziała jakaś bogato wystrojona dama, a na koźle Piotrek.

Dama wysiadła z dorożki i wchodząc do Izby, zapytała:

— Czy tu mieszka pan Brodzicki felczer?

— Tutaj, do usług pani dobrodziejki, odpowiedział pan Brodzicki, kłaniając się nisko.

— Czy u pana zostaje w kondycyi chłopak Piotrek?

— Tak, do usług pani dobrodziejki.

— Dziękuję za takie usługi. Pan go nie trzymasz w karności; patrz pan, z figlów poważył się rzucić na mnie błotem.

— Jezus Marya, błotem? krzyknął starszy felczer.

— Tak błotem, i to z pustoty.

— Albo to prawda? rzekł Piotrek.

— No, jak to nieprawda?

— To prawda, że rzuciłem błotem, ale to tak

było: Ta pani zmykała trotoarem, aż jej błoto zpod trzewików bryzgało, a za nią biegła stara i uboga kobieta, wołając: Jagusiu, moja córko, zaczekaj, przecież ja twoja matka! Żal mi się zrobiło starej i pomyślałem sobie: niewiele musi być warta taka córka, co się swojej matki wypiera i...

— I cóż?

— Ha cóż? poleciałem, złapałem garść błota i smyrgnąłem.

— Na tę panią?

— Na córkę, co uciekała przed matką.

— Łotrze, gadaj wyraźnie, na tę panią?

— Na tę panią.

— Tak na mnie, przecież aż jeden pan bardzo porządny w niedźwiedziach go złapał i wsadził do dorożki. On chciał zawieść go na ratusz, ale ja powiedziałam, że lepiej udać się do pana felczera.

— Masz pani dobrodziejka racyę... No proszę, kto słyszał, taka pani, atłasowa salopa, kapelusz z piórami, a ten ladaco śmiał... że aż trudno wymówić. Panie Puślicki stołek i dyscyplina.

— Panie, panby mnie nie bił, żeby był widział, jak mi stara matka za to dziękowała, rzekł Piotrek łkając.

— Jak ty śmiałeś napastować taką panią w atłasach. Panie Puślicki, dwanaście, tylko nie żałować ręki!

Pan Puślicki dał znów dowód gimnastycznej biegłości w ręku, a Piotrek znów stłumił w sobie łkania, ale wyszedłszy do drugiej izby, ukląkł przed wiszącym na ścianie obrazem ukrzyżowanego Zbawiciela, wyciągnął ręce jakby z prośbą o obronę i głośno zapłakał.

Na drugi dzień po tem zdarzeniu, rano o szóstej godzinie Piotrek wziął pudełko z brzytwami, miseczkę cynową, mydło i wybiegł z domu. Obejrzał się, czy kto na niego nie patrzy i jak strzała popędził ulicą Bednarską ku mostowi. Koło mostu w godzinach rannych siadywał oddawna starzec, kaleka z wiecznemi ranami na nogach, z twarzą zużytą cierpieniami i nędzą, i wyciągał rękę do chłopków jadących na targ, do niewiast miejskich dążących do miasta z pełnemi kobiałkami. Wszystkim życzył dobrego targu, a za to często grosz toczył się na jego rękę. Kto tylko spojrzał w poczciwe rysy biedaka, nie mógł ominąć go obojętnie.

Piotrek przybiegł do niego, pocałował go w rękę, a starzec czule przycisnął go do piersi mówiąc:

— Jak się masz moje dziecię.

— Zdrów, Bogu dzięki, choć mnie znów mój dziaduniu obito.

— A za co?

Piotrek opowiedział szczerze całe wczorajsze zdarzenie.

— Poczciwy chłopaku, rzekł starzec, tuląc jego łkania, ludzie cię ukarali, ale ty zrobiłeś jak Bóg chce, bo ująłeś się za biedną matką, której się niewdzięczna wypierała; takie plagi nie zrobią ci szkody. Wiesz, co ci opowiadałem o tym świętym, co go smagali dyscypliną z hakami, aby wyrzekł się Pana Boga, a on wszystko wycierpiał, a Boga nie odstąpił. I ty moje dziecię nie dbaj na takie kary. Powiem ci tylko dla przestrogi, że rąkby ci nie stało, gdybyś chciał rzucać błotem za wszystkiemi takiemi córkami; najlepiej było moje dziecię Bogu zostawić ukaranie niecnotnicy, a tylko biedną matkę pocieszyć i uspokoić. No, ale stało się, nie płacz już mój chłopcze, bo mi serce pęka.

Piotrek uspokoił się, podał rękę starcowi, zaprowadził go do bliskiej sieni, potem pobiegł do łazienek, przyniósł miseczkę ciepłej wody, odwinął łachmany okrywające jego nogi, obmył rany, przyłożył świeże szarpie umaczane w ziołowym odwarze, nakrył czystą szmatą, obwiązał i odprowadził starca na jego miejsce koło mostu.

— Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecię, niech ci daje tyle szczęścia, ile ty mi ujmujesz bólu przez twój codzienny opatrunek.

— To nic, mój dziadusiu, módlcie się za mnie, abym znów co nie oberwał, dodał, zbierając swoje manatki i spiesząc pod górę.

Starzec wzniósł oczy zaszłe łzami ku niebu.

Piotrek biegł napowrót Bednarską, myśląc o wczorajszych plagach i o świętym, o którym dziaduś mu opowiadał, gdy nagle uczuł, ze ktoś schwycił go za kołnierz. Podniósł oczy w górę i ujrzał przed sobą pana Brodzickiego.

—A ty tu co robisz, urwisie? tu miesięcznych

nie mam. Piotrek nie umiał kłamać, odpowiedział więc jąkając się:

— Ja też nie byłem u miesięcznych.

— A gdzieżeś był?

— Proszę pana tam koło mostu siada stary dziad, co ma nogi całe w ranach. Dziad sam jak kołek, i nie ma mu kto ran obmyć i świeżych gałganów przyłożyć.

— I ty mu co dzień rany obmywasz, hę prawda?

— A tak panie.

— Łotrze, za głupie dziadowskie trzy grosze marnujesz mój czas i drzesz buty.

— Ale panie, on mi nic nie płaci, jak Boga kocham, on taki biedak, kaleka.

— Łżesz urwisie, tybyś tyli pod drogi co dzień darmo leciał, ale ci pachną dziadowskie trzygroszniaki. Dam ja tobie wczorajszego dwunastaczka, tylko wrócę do domu. Piotrek chciał jeszcze się zakląć, że od dziada nic nie bierze, ale pan Brodzicki zażywszy tabaki, poszedł dalej, mrucząc pod nosem: wisus, pędziwiatr, mój czas, moje buty...

—

Rzucimy zasłonę na dalsze tarapaty biednego chłopczyny, a poprowadzimy was teraz czytelnicy do jednej z kamienic przy ulicy o trzech cyfrach położonej, na której spostrzeżecie napis: Piotr...... starszy felczer.

W mieszkaniu składającem się z dwóch obszernych pokoi, zastawionych nowemi schludnemi mahoniowemi mebelkami, znajdziecie pana Piotra starszego felczera, a przy nim młodą, ładną, poczciwą żonę, dwóch subjektów i trzech chłopców. Z dawnej biedy wyniósł tylko obraz ukrzyżowanego Zbawiciela, przed którym łzy swoje składał w ofierze.

Błogosławieństwa dziada znad mostu spełniły się przy pracy, zabiegłości i dobrem imieniu swojem, przy łasce nieba, a miłości u ludzi Piotrek dorobił się kawałka grosza, i z czasem otworzył izbę felczerską na własną rękę.

Czy pan Piotr, starszy felczer nie zapomni cnót biednego Piotrka, to sęk trudny do rozbicia. Chleb daje rogi, powiada przysłowie, ale cóż, kiedy te rogi potem najczęściej na złe wychodzą!

Jedwabnictwo.

II.

—

Oprzędy dobre do przysposobienia przyszłego pokolenia, czyli jajeczek powinny być ściśliwe, w naciśnięciu twarde zwłaszcza w końcach, miernej wielkości, kształtu równego czy to owalowate czy też środkiem przewięziste, koloru bladego i z pozoru tkaniny drobno ziarnistej bez połysku; wszystkie zatem inne, jak wątłe, niekształtne, przezroczyste dziurawe, mszyste, z grubą i błyszczącą tkaniną, jaskrawe, plamiste, nie powinny być użyte.

Dubeltowe oprzędy, utworzone przez dwóch lub więcej robaków, mogą być wzięte, lecz końce ich ostrym nożem nadcina się w sposób, ażeby nadcięcie niejaką klapkę tworzyło dla ułatwienia wydobycia się motylowi, gdyż tak są twarde, po czem też ich w części poznaje się, że zwykle motyle w nich zamierają, nie mając dosyć siły na rozsunięcie nici i zrobienie sobie wyjścia w takim oprzędzie.

Według mojego przekonania, najwłaściwiej jest liszki naprzód przebudzone po czwartem lenieniu (1) osobno hodować, dając im wszelkie wygody i częsty pokarm, usuwając niedołężne, a zachowując same najdorodniejsze; z ich oprzędów zrobiony wybór wyda pokolenie pod wszystkiemi względami dobre. Ażeby zaś przez odrzucanie niedołężnych liszek, oprzędów i motylów nie być w braku, odłożyć należy o trzecią część więcej liszek na odrodzenie czyli na przysposobienie jajeczek, jak z obrachowania potrzeba tego wypadnie.

W powszechności mniemają, że oprzędy środkiem przewięziste dają samców, a jajowate dają samice, ale w tem pewności niema; robak żwawy, chętny do wykręcania się, mocny, zrobi oprzęd przewięzisty, twardy w końcach, jeżeli zaś leniwy lub niesilny, utworzy oprzęd owalowaty, niezbyt twardy w końcach, do których trudniej mu przyczepić nić swoję i przez to poczwarka nie wydaje czasem odgłosu uderzeń za poruszeniem oprzędu, bo

(1) Liszka przez ciąg życia cztery razy lenieje czyli zrzuca skórkę, przy czem nie jé, nie rusza się, jakby spała; czwarte lenienie jest ostatnie, po którem w 10 dni tworzy oprzęd. Przy wykładzie o hodowaniu jedwabników obszernie o tem będzie mowa, tudzież o wyrachowywaniu odpowiedniej ilości liści, jajeczek, miejsca, według możności lub potrzeby.

w poprzecznych niciach niejako jest uwikłana; mimo to jednak wydać może taki oprzęd dobrego motyla, samca lub samicę i dobre następnie jajeczka.

Oprzędy wybrane oczyszczać należy z *odcieru*, to jest: zewnętrzne nici oprzędu bez ładu nastrzępione obdziera się, aż do otrzymania powierzchni gładkawej; wtedy wydobywający się motyl nie zaplątą w tych strzępach nóżek, coby go wiele osłabiło. Tak przysposobione oprzędy niektórzy kładą warstwami na trzy cale grubemi, inni na nitki nawlekają ostrożnie, żeby nie obrazić poczwarki i wiankami zawieszają, chroniąc ich tym sposobem od myszy i kotów, i żeby zarówno do każdego oprzędu był przystęp powietrza i ciepła, gdyż w warstwach będące oprzędy w skupieniu wilgotnieją przez parowanie poczwarek i częstego wymagają poruszania i przemieszywania, żeby osychały. Któż to wie, czyli takie przemieszywanie oprzędów, a przez to niepokojenie poczwarki i do tego wilgotnienie oprzędów nie wywiera swego szkodliwego wpływu na przyszłość tego stworzenia, któremu natura naznaczyła odosobnienie, suchość położenia i spokojność? Dlatego uważam za najlepsze, wybrane oprzędy położyć na papierze w pewnej od siebie odległości (co dwa cale) i pod każdy oprzęd poddać trochę rozcieku z gummy lub z lnianego siemienia dla przymocowania go do papieru; wtedy nietylko zarówno każdy oprzęd oblany będzie powietrzem i ciepłem, ale nadto wydobywający się z oprzędu przymocowanego motyl znajdzie punkt oparcia dla ułatwienia sobie wyjścia.

Oprzędy przeznaczone do wydania motylów znajdować się powinny w izbie miernego ciepła, od 15 do 18 najwięcej stopni, suchej, przyciemnionej o tyle, żeby tylko rozpoznać w niej można było przedmioty, a gdy powietrze zewnątrz jest łagodne, spokojne i nie dżdżyste, dobrze jest mieć okna przez dzień otwarte, byleby nie było przeciągu; przystęp wolny powietrza tak umacnia siłę w tem stworzeniu, że w izbie z otwartemi oknami nawet z dubeltowych oprzędów bez nadcinania końców wszystkie wydobywają się motyle, gdy w takiejże samej izbie, ale z zamkniętemi oknami trzecia część dubeltowych oprzędów nie wydała motylów, które wewnątrz zamarły z niemożności wydobycia się. Nawet jajeczek z pierwszej izby więcej otrzymano zapłodnionych jak z drugiej z zamkniętemi oknami. Czystość miejsca, czystość powietrza i czystość pokarmu, uzacnia wszystkie stworzenia, tak natura naznaczyła.

Od chwili, jak oprzęd został wykończony, na co liszka potrzebuje trzech do czterech dni, aż do wydobycia się motyla z oprzędu przejdzie dni 10 do 12; wtedy spostrzegać się daje w jednym z końców oprzędu kropla czystej cieczy. Tym końcem wydobędzie się motyl, bo cieczą tą rozpuszcza gummę łączącą nici i ułatwia sobie rozsunięcie ich dla zrobienia otworu. Jeżeli więc wydobywający się z oprzędu motyl znajdzie trudności, czy to z przyczyny odcieru, czy też zbytecznej twardości oprzędu, zmęczony słabieje i tymczasem rozmoczony otwór wysycha, ściąga się i zadusza w połowie wydobytego motyla. Zbyt gorąco (20 do 21 stopni) lub zbyt zimno (14 do 15) w izbie przy wylęganiu się motylów, spowoduje znaczną część jajeczek niezapłodnionych. Motyle po wyjściu z oprzędów wyrzucają z siebie ciecz brudną, czerwonawo-ciemną; czasu im na to zostawić potrzeba godzinę lub dwie. Będzie to zarazem chwila wyboru motylów; odrzucić należy motyle ogołocone miejscami z puchu białawego, którym ciało ich winno być pokryte, mające rozwinięte *macki* czyli wąsy pierzaste, mające źle rozwinięte skrzydła, mające część tylną ciała swego albo zbytnie suchą lub mokrą, bezwładne w nóżkach i na ciele.

Wybrane już motyle, po dwu godzinach zbliżyć należy w pary. Łatwo rozróżnić samca od samicy; ten jest szczuplejszy, żwawszy i poruszający skrzydełkami często, tamta jest grubsza w brzuchu i spokojna. Biorąc motyle, bierze się je za obydwa razem skrzydełka jak najostrożniej, nie dotykając ręką reszty ciała. Wnet sprzęgnięte pary przenieść należy na oddzielne miejsce w takiej między sobą odległości, ażeby za poruszeniem skrzydełek jedne drugich nie dotykały, bo samiec wtedy odskakuje od swej i wyszukując innej samicy, sobie i drugim przeszkadza; jeżeli będą samce w zapasie, dobrze jest odłączającego się samca odrzucić, a samicy dodać nowego samca. Wypadałoby mieć nieco samców w zapasie, a wszystkie nim w użycie wejdą, trzymać

w pudełku przykrytem i podziurawionem, ażeby w zupełnej ciemności powstrzymać ich od ustawnego trzepania skrzydełkami, bo to wycieńcza ich siły żywotne. Motyle wychodzą zwykle z oprzędów przez 3 dni, zrana po wschodzie słońca do godziny 9 lub 10 przed południem; wydobywające się wieczorem są niedobre, odrzucić je zatem należy, również jak motyle wydobywające się dnia pierwszego w małej ilości. Oprzędy podziurawione po wyjściu motylów zaraz usuwać potrzeba. Papiery pod motylami, jeżeli będą zmoczone, odmienić wypada.

Połączenie naturalne w parach trwa mniej więcej dzień jeden. Wielu znakomitych uczonych hodowników zastanawiając się nad tą jedwabników czynnością, przez wyrozumowanie i przez doświadczenie uznali, że dosyć jest parom w połączeniu zostawać kilkanaście, kilka godzin i kwadrans nawet czasu, że przez długie połączenie słabnie samica i wreszcie nie będzie w stanie wydać z siebie wszystkich jajeczek, z któremi zamiera. Inni twierdzą, że najlepiej zostawić to naturze i dozwolić parom zostać w połączeniu dopóki same nie rozłączą się. I rzeczywiście cóż nam biedakom poprawiać naturę; zostawmy raczej parom czas przez naturę wskazany, miała ona w tém swoje cele, o których my nie wiemy.

Przerwijmy na chwilę, żebym was moją gawędą nie znudził; w dalszym ciągu ukończę ten przedmiot o jajeczku jedwabniczem, ważny i potrzebny, a który wam wyłożyć przedsięwziąłem.

Cudowny dukat.

(Zdarzenie prawdziwe).

—

Jakże tajemne i niezbadane są drogi, któremi Opatrzność dąży do odkrycia prawdy, do okazania niewinności a zawstydzenia występku. Za dowód tego opowiemy tu jeden wypadek, jaki świeżo miał miejsce w Lubelskiem, pod Janowem Ordynackim, którego rzeczywistość cała może potwierdzić okolica.

W skromnym dworku, zdala bielejącym zpod wyniosłych topoli, mieszkali jedni państwo; A że dworek stał przy wielkiej drodze, częstych też miewał gości i liczne naokoło na mil kilka stosunki.

Od pewnego czasu był wielki ruch we dworku. Wszystko, co żyło z płci niewieściej, było zajęte szyciem wyprawy dla najstarszej z córek gospodarstwa, imieniem Joasi. Nietylko młodsze jej siostry i kuzynki, nietylko dworskie zdolniejsze dziewki, ale sprowadzoną została biegła haftarka z miasta, w której ręku igła zdała się lotem strzałki biegać.

Nadszedł dzień wesela. Szczupły dworek zaledwie mógł objąć to mnóstwo tak familii bliższej i dalszej, jako też liczne koło znajomych i sąsiadów. Poczciwym starym zwyczajem gospodarstwo chcieli wszystkich ulokować wśród dworku, jak najbliżej siebie, pod jedną mieć strzechą wszystkich dobrych przyjaciół, których jeszcze razem nie mieli nigdy u siebie i w takiej liczbie. W pokojach i pokoikach wszędzie można było widzieć porozrzucane, pomieszane bez ładu kapelusiki, krawatki, woalki, szale, mantyle różnego kroju; tu znów szkatułki poroztwierane z kosztownościami, woreczki z pieniędzmi, pudełeczka z klejnotami. Powiedziałbyś, że to ów wiek złoty na chwilę zawitał, gdzie jeszcze nie znano, co to *moje* i *twoje*, tak wszystko zdało się tu pomieszane, wspólne.

Ależ niestety! z wielkiem zdumieniem wszystkich zaczęły kiedy niekiedy znikać śród tego chaosu w którym jednak piękne właścicielki łatwo do wszystkiego trafiały, to kosztowne broszki, to brylantowe szpileczki, to nawet grubsza moneta z woreczków. Prócz panien pokojowych i haftarki nikt obcy tu nie wstępował; a te prawie wszystkie dobrze znane były swym paniom.

Z początku choć która z pań i dostrzegła straty, nie śmiała się z tem pierwsza odezwać, wszystkie prawie jednem zajęte były, ale każda kryła przed swoją sąsiadką, co ją najwięcej dotykało, gdy jej najistotniejszej do stroju brakło ozdóbki. Mała tylko Haneczka, młodsza siostrzyczka panny młodej, z całą otwartością ogłosiła, że jej zaginął z sakiewki stary dukat węgierski z Matką Boską, poświęcony niegdyś w Częstochowie i darowany jej na pamiątkę od ś. p. babci. Została mocno naganioną od mamy za tę otwartość, która przecież w takim razie jest lepszą, niż tajenie szkody i podejrzenia złośliwe, na niewinne zwracane osoby. Za jej przykładem, wszystkie zaczęły przyznawać się do różnych

strat, jakie która poniosła. Zwołano garderobiany i pokojówki. Owa biegła haftarka sama z nich prowadziła badanie. Lecz nic się nie wykryło; wszystko ponikło, jakby się stopiło w powietrzu. Łatwo sobie wyobrazić, jak cała zabawa była sparaliżowana, jak smutek jakiś spędzał wszelką wesołość. A nawet na drugi dzień po ślubie, już się przeciw zwyczajowi dawnemu tej rodziny, rozjechano.

Lecz niepocieszona była wciąż mała Haneczka; tak jej żal było owego dukata, owego może zadatku szczęścia, jakie na nią miało spłynąć z błogosławieństwem ś. p. babci. Oczy z łez jej nie osychały.

Trzeciej nocy po stracie, po modlitwie do świętego wizerunku Boga Rodzicy, który wciąż opromieniony jak na dukacie, zdawał się błyszczeć przed jej oczami zasnęła spokojniej, z jakąś nawet słodyczą w duszy. Wtem we śnie zdaje jej się, jak wyraźnie widzi ów wizerunek opromieniony cudowną jasnością. Niby wpatruje się weń z trwogą i pokorą; wizerunek jaśnieje, ale zaszyty w szlafroczek watowy owej haftarki najętej, który wisiał na kołku w garderobie, gdzie nocowała także haftarka.

Zaledwie dzień rozbłysnął, zaledwie się krzątać po domu zaczęto, Haneczka zrywa się i woła: tatku, tatku, ja wiem, gdzie mój dukat poświęcony. A pochwyciwszy za rękę zdumionego ojca, pociągnęła białą rączyną do garderoby, i szybko w jego oczach i zdumionej haftarki, jako i innych przytomnych zaczęła macać rąbek wkoło watowanego szlafroka; istotnie uczuła pod watą jakieś zaszyte rzeczy. Rozpruto szlafrok i znaleziono ten sam dukat poświęcony, z tym samym sznureczkiem jedwabnym, który sobie sama Haneczka zrobiła; a oprócz tego i wiele innych kosztowności w połach i szerokich falbanach szlafroka pozaszywanych, jakie poginęły podczas weselnego natłoku przybyłym sąsiadkom i przyjaciołkom.

Haftarka nie była w stanie zaprzeczyć prawdzie. Zbladła tylko jak trup; bez najmniejszego tłumaczenia się zeznała, że pomagając w toalecie państwu, zręcznie korzystała z nieładu i natłoku tylu osób, i sama bez oporu prawie życząc sobie tego, oddała się pod wyrok sprawiedliwości sądowej.

Złożone przez poszkodowanych deklaracye, iż żadnej nie roszczą sobie pretensyi, okazany przez oskarżoną szczery żal, nieudana skrucha i widoczna chęć poprawy, wpłynęły na przekonanie sędziów; albowiem obok wymierzenia prawem postanowionej kary za czyn własném przyznaniem udowodniony, domieszczono zarazem okoliczności za obwinioną przemawiające, i dołączono wniosek za ułaskawieniem ukaranej. Jakoż władza właściwa na poświadczone przez sąd okoliczności łagodzące, przebaczenie udzieliła.

O ile nam wiadomo ułaskawiona haftarka prowadzi dziś życie nienaganne, ożywiane pracą, żałując dawnego błędu.

OD REDAKCYI.

Podług ostatniego ogłoszenia w nrze 44 r. z., remanent w kassie Pożyczkowo-rzemieślniczej przy Redakcyi Czytelni Niedzielnej istniejącej wynosił: . . Rs. 9 kop. 94.

Od tego czasu od różnych dłużników wpłynęło	Rs. 66 kop. 81½.
oraz od JW hrabiny Kossakowskiej jako dar jednorazowy	Rs. 150 kop. „
Od JW. Rzeczywistego Radcy stanu Petrowa, dar jednorazowy	Rs. 5 kop. „
było więc łącznie .	Rs. 231 kop. 75½
Strąciwszy z tego wydatki na kancellaryę, oraz koszta notarjalne, usprawiedliwione szczegółową likwidacyą	Rs. 3 kop. 16
było w ogóle . .	Rs. 228 kop. 59½

Z funduszu tego otrzymali nowe pożyczki, do zwrotu w ciągu roku jednego, w 4 ratach kwartalnych z dołu, z procentem 5%.

1. Walenty i Julja małżonkowie Podgóralscy, sklepik z wiktuałami przy ulicy Dunaj pod nr. 149 utrzymujący Rs. 30.
2. Józef Cichocki stolarz przy ulicy Prostej pod nr. 1165 zamieszkały Rs. 30.
3. Marcelli Sangarski tokarz przy ulicy Tłumackie nr. 739 zamieszkały Rs. 45.
4. Franciszek Królikowski krawiec przy ulicy Długiej pod nr. 585 zamieszkały Rs 45.
5. Antoni Zejdler parasolnik, przy ulicy Staremiasto pod nrem 67 zamieszkały . . . . Rs. 45.
6. Aleksander Krzystowski pozłotnik, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście pod nrem 372 zamieszkały Rs. 30.

Rozdano łącznie Rs. 225 kop. „

A zatem pozostaje w kassie Rs. 3 kop. 59½.

Wdruk. J. Ungra.— Wolno drukować. — Warszawa d. 15 (28) lutego 1859 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*